

MICHAŁ GŁOWIŃSKI*

Z szuflady Profesora Michała Głowińskiego**

Trzy tęgie głowy. IV

Hanna Buczyńska-Garewicz (1932–2019)

O śmierci Hanka dowiedziałem się z dwu nekrologów, ogłoszonych w „Gazecie Wyborczej”. Jeden z nich był od instytutu, w którym pracowała w czasach, gdy przebywała w Polsce, drugi – od kolegów. Niestety, ani w jednym, ani w drugim nie podano dokładnej daty śmierci, wiele jednak wskazuje na to, że zmarła pod koniec roku ubiegłego. O ostatnim etapie jej życia nie wiem nic, nasze kontakty urwały się przed kilkunastu laty, jednym z ostatnich ich świadectw, a może w ogóle ostatnim, jest tom *Miejsca, strony, okolice. Przyczynek do fenomenologii przestrzeni*, opublikowany w roku 2006 w tak zwanej białej serii krakowskiego wydawnictwa „Universitas”. Na moim egzemplarzu figuruje autorska dedykacja: „Michałowi – o wielu «miasteczkach» – Hanka”. Dedykacja ta jest aluzją do moich opowieści o Pruszkowie, w których nie pojawia się ta nazwa, pojawia się zaś Miasteczko, pisane z reguły z dużej litery. Powiedziała mi kiedyś, że urodziła się właśnie w Pruszkowie; miejsce owo zostało potwierdzone w jednym z nekrologów. Niestety, na temat jej związków, a także jej rodziny, z moim świadomym zmitologizowanym podwarszawskim miasteczkiem, nie mam nic do powiedzenia, nie znam nikogo, kto mógłby mi przekazać jakieś informacje. Domyślałam się, że Pruszków stał się miejscem jej przyścia na nasz najpiękniejszy ze światów z tej racji, że w nim był szpital (czy nawet szpitale), które dysponowały oddziałami położniczymi, a jej rodzina

* Prof. dr hab. Michał Głowiński (mg@michal.glowinski.vdl.pl), członek rzeczywisty PAN, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

** W 2021 roku ukazała się książka *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów* (Wydawnictwo Wielka Litera), napisana przez Michała Głowińskiego. Książka zawiera krótkie eseje przedstawiające sylwetki wybitnych, zmarłych polskich humanistów. Początkowy zamiar autora, aby owe eseje (a napisał ich ponad 220!) spoczęły w szufladzie jego biurka, został przez niego zarzucony i część z nich ukazała się drukiem. Nadal jednak ponad 160 tekstów spoczywa w biurku. W uzgodnieniu z prof. Głowińskim redakcja „Nauki” – począwszy od numeru 2/2022 – w kolejnych numerach drukuje po trzy eseje, pod zbiorczym tytułem: *Trzy tęgie głowy*, wybrane przez autora „z szuflady” jego biurka (zob. przypis do pierwszego zestawu esejów – „Nauka” 2022, nr 2, s. 151).

związana była z Leśną Podkową, która była luksusową willową osadą, miastem – ogrodem, w którym niczego takiego nie było (i zapewne nie ma do dzisiaj). W obszernym bloku korespondencyjnym, zawierającym listy Hanki i Janka, o Leśnej Podkowie pisze się nieustannie¹.

Wydaje mi się, że biografia Hanki jest typowa czy reprezentatywna dla pewnej części tego pokolenia, do którego – jako jedna z najmłodszych – należała; główni jej przedstawiciele z Kołakowskim i Baczką na czele na świat przyszli w latach dwudziestych, a najmłodszym w tym gronie jest chyba Krzysztof Pomian. Myślę tu o osobach wywodzących się ze środowisk inteligenckich, lewicowo-liberalnych, które uwierzyły w komunistyczną ideologię i jej się podporządkowały, bądź nawet ją współtworzyły. Jednak Hanka przeżyła ten etap swojej biografii w stylu łagodnym, niewątpliwie nie była ani aktywistką ZMP-owską, ani partyjną. Trudno mi o tym pisać, bo w tamtym czasie jej nie znałem. Czy w ogóle należała do PZPR? Wydaje mi się, że zaopatrzyła się w czerwoną legitymację, pewności jednak nie mam. Ważne jest zresztą, kiedy do partii wstąpiła. Czy stało się to w czasie pełnego rozkwitu stalinizmu, czy też później, już po śmierci tyrana, czyli w czasach odwilży. Wówczas zaznaczyło się ciekawe zjawisko: do partii zapisywali się młodzi intelektualiści nie dla kariery, ale dlatego, że ulegli złudzeniom, uwierzyli, że komunizm w sowieckiej wersji jest reformowalny. To tego rodzaju działacze, sympatycy, tak zwani współtowarzysze drogi stali się tymi, których w języku wolnym nazywano rewizjonistami, to tego rodzaju członkowie porzucali partię, do której kiedyś się zapisali, czynili to w momentach dramatycznych, by wymienić na pierwszym miejscu okres marca 1968, na drugim zaś należy umieścić lata stanu wojennego, kiedy inteligenci porzucali organizację, w którą przed laty wdepnęli. Z marcowcami niewątpliwie nie było Hance po drodze. Pod koniec lat sześćdziesiątych Wydział Filozofii i Socjologii na Uniwersytecie Warszawskim był miejscem radykalnej czystki ideologicznej, usuwano tych, którzy partii w ten czy inny sposób się narazili, porzucili jej szeregi, zaangażowali się w ruch opozycyjny, lub po prostu dalecy byli od marksizmu w jego ówczesnej oficjalnej wersji albo mieli też niewłaściwe żydowskie pochodzenie. Nie był to przypadek Hanki. Właśnie w tym czasie zmieniła ona pracę, zatrudniła się w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, zwanym potocznie IFISEM. Jedną ze szczególnych właściwości marcowych rugów było to, że – jeśli chodzi o środowiska naukowe – ich miejscem były przede wszystkim wyższe uczelnie, instytuty podlegające Polskiej Akademii Nauk zostawiano w spokoju. Tymczasem! Podobno tak się rzeczy miały z tego względu, że uznano, iż rozprawić trzeba się z nimi w dalszej kolejności, by nie otwierać jednocześnie wielu frontów ideologicznej walki. Jak się

¹ Ogromny zbiór: Hanna Buczyńska-Garewicz, Jan Garewicz *Listy Warszawa Paryż Boston*, liczy łącznie stron 1127, będą do niego nawiązywał, jest to bowiem dokument niezwykle.

zdaje, takie krążące wówczas opinie i przypuszczenia były uzasadnione jednak nie stanowiły plotki, raczej zapowiadały to, co czeka życie naukowe w niedalekiej przyszłości. Na szczęście tak się nie stało, instytuty PAN-owskie dawały nawet schronienie pracownikom, których z uczelni wyrzucono. Stało się tak z tej racji, że akcję skrajnego partyjnego ciemnogrodu przyhamowano, moczaryzm nie zdobył jednak powszechnego panowania. Chodziło przede wszystkim o pozabawienie tych, którzy uznani zostali za nieprawomyślnych, możliwości kontaktów ze studentami.

Hanka została zaangażowana w IFISie. Nie potrafię podać szczegółów, nie wiem nawet, której pracowni została przypisana, ma to jednak mniejsze znaczenie; jeśli się nie mylę jej bezpośrednim zwierzchnikiem był Adam Schaff. Tak się składa, że między filozofami i historykami filozofii istnieje z reguły bliższy związek niż między historykami literatury a literatami, tu granice niekiedy się zacierały, tak więc – sięgam po przykład szczególnie wyrazisty i ogólnie znany – Władysław Tatarkiewicz był historykiem filozofii, w powszechnej świadomości funkcjonował jednak jako filozof. Wydaje mi się, że Hanka znajdowała się na pograniczu. Zajmowała się przede wszystkim filozofią amerykańską, głównie dorobkiem Peirce'a, ale do tego się nie ograniczała, przedmiotem jej zainteresowania była także semiotyka. Jeszcze za swych polskich czasów opublikowała sporo książek i studiów, po wyjeździe wydała książki ściśle filozoficzne, obok wspomnianej już monografii o przestrzeni również książkę o czasie (*Metafizyczne rozważania o czasie. Idee czasu w filozofii i literaturze*, 2006). W Ameryce pracowała jako wykładowca filozofii, najpierw na uniwersytecie w New Mexico, potem w Bostonie. Jedną z uczelni był jezuicki college. Nie znaczy to, że Hanka była myślicielem religijnym, czy – konkretnie – katolickim. O ile się orientuję, tego rodzaju problematyka była jej obca. Główne prace ze swojego okresu amerykańskiego pisała po polsku, choć angielski znała znakomicie. Trochę z nią w tej materii współpracowałem, przetłumaczyła jakieś pozycje dla działu przekładów „Pamiętnika Literackiego”, który redagowałem.

Była niewątpliwie silną osobowością, miała zdecydowany, niekiedy ostry, sposób bycia, za sprawą czego z Jankiem, który praktykował całkiem inny styl postępowania, tworzyli parę raczej kontrastową. Kiedy Hanka osiadła w Ameryce, krążyła plotka, że to małżeństwo się rozpadło. Opublikowany w serii poświęconej tak zwanej Warszawskiej Szkole Historii Idei ogromny zbiór korespondencji świadczy, że jednak sytuacja ukształtowała się inaczej, była bardziej skomplikowana. Nie mam pewności, czy taka formuła do tej pary przylega: małżeństwo na odległość. Zaiste jego rozpiętość przestrzenna była niezwykle rozległa: od amerykańskiego wschodniego wybrzeża po prawobrzeżną Warszawę (mieszkanie Garewiczów mieściło się na Pradze południowej, w domu narożnym przy alei Waszyngtona i Międzyborskiej, bądź Grenadierów, w tym momencie zawodzi mnie pamięć). Kiedy Janek ciężko zapadł na zdrowiu, Hanka na jakiś czas wróciła do Polski.

Nie jest moim zadaniem w tym cyklu przedstawianie opinii o tym, jak publikowane są ważne i wysoce interesujące dokumenty osobiste, jednak w tym wypadku nie mogę się powstrzymać od słów krytyki. O wydaniu tego zbioru listów dowiedziałem się od Leszka Szczuckiego, który był nimi zachwycony. Listy są wspaniałe, ich edycja wszakże jest fatalna, zdumiewająco daleka od profesjonalności, mimo że ogłosiło ją wydawnictwo IFIS-u, a więc naukowe, które powinno dbać o spełnianie obowiązujących standardów. Książki tej nie można określić jako – dialog korespondencyjny, albowiem ułożone zostały tak, jakby chodziło o samodzielne monologi. Przypuszczam, że nie był to wynik przyjętej świadomie koncepcji, ale rezultat nieumiejętności. O wielu osobach wspomina się pod różnymi imionami, pseudonimami, ksywami środowiskowymi, niekiedy pojawiają się nazwiska. W przypisach panuje wręcz nieprawdopodobny bałagan, co oczywiście umniejsza wartość dokumentarną tej publikacji. Dzisiaj można przynajmniej w wielu przypadkach dociec, o jaką osobę chodzi, przyszły historyk będzie miał spory kłopot z ustaleniem. Tym większy, że i Hanka, i Janek korzystają z tego, co można byloby nazwać nomenklaturą rodzinną, posługują się własnymi określeniami. Listy mają niewątpliwy szlif literacki, są pisane z rozmachem, momentami tylko popadają w pretensjonalność, pomyślane zostały tak, żeby były dalekie zarówno od patosu, jak i od sentymentalizmu. Domyślam się, jak doszło do tak niedbałej edycji. Zapewne po śmierci Janka Hanka przyniosła do wydawnictwa komplety ich listów, a że dotychczas z problemami edytorskimi się nie stykała, nie umiała edycji porządnie przygotować, wydawnictwo zaś poszło na łatwiznę.

15–19 III 2020

Lucylla Pszczołowska (1924–2010)

Lucylla była związana z Instytutem Badań Literackich już we wczesnych latach pięćdziesiątych; to właśnie wówczas prof. Maria Renata Mayenowa organizowała zespół zajmujący się wersyfikacją i dziejami polskiej świadomości językowej. Jest niewątpliwym paradoksem, że powstał on w czasie skrajnej ideologizacji wszystkich dziedzin wiedzy, w tym nauki o literaturze. Jego powołanie stanowiło zasługę Mayenowej, która potrafiła wykorzystać swoją osobistą pozycję, a także dobre kontakty z osobami prominentnymi dla zorganizowania pracowni, znajdującej się poza wszelką ideologią i stawiającej przed sobą zadania ściśle naukowe, niepłacącej haraczu oficjalnej doktrynie. W zespole tym pracowały same kobiety, nazywano go więc żartobliwie fraucymerem. Były to osoby w jakiejś mierze wyrzucone przez nowy porządek na margines – działaczka harcerska

Zofia Florczak (ją znałem najmniej), Zdzisława Kopczyńska, która zrezygnowała z pracy nauczycielskiej, bo nie chciała uczyć według narzuconych wzorców stalinowskich, Barbara Otwinowska, która przez trzy lata odsiadywała wyrok ze względu na udział w antykomunistycznym podziemiu. Z tej czwórki najbardziej neutralną biografię miała Lucylla, choć była absolwentką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, na co nie patrzono wówczas przychylnym okiem.

Pochodziła z rodziny o przeszłości komunistycznej. Jej ojcem był Stefan Rudniański, filozof, znawca ideologii Wielkiej Rewolucji Francuskiej, autor książki *Technologia pracy umysłowej*, wznawianej po wojnie i traktowanej przez dziesięciolecia jako pożyteczny podręcznik, choć zawarte w nim wskazania nie zawsze przylegały do nowych czasów. Pamiętam, że zalecano zapoznanie się z nim, gdy byłem studentem pierwszego roku. Znalazło się na jego stronach pouczenie, że kiedy uwaga umyka i nie sposób się skupić, dobrze sięgnąć po kostkę czekolady. Były to wszakże wczesne lata planu sześcioletniego, gospodarka zesłała na dno, czekolady chyba w ogóle nie produkowano. Ale to dygresja. W encyklopedycznej publikacji *Filozofia w Polsce – Słownik pisarzy* (1971) przeczytałem w poświęconym mu haśle, że Rudniański był w okresie międzywojennym jednym z nielicznych w kraju filozofów marksistowskich i należał do KPP. Lucylla kiedyś mi powiedziała, że rodowe nazwisko brzmiało inaczej: Rubinrot i że takie nosiła przed wojną. Rudniański to było jednak trochę co innego niż nazwisko używane w czasie okupacji czy autorski pseudonim. Tak nazywała się część rodziny; utworzone zostało ono od znajdującej się na najdalszych Kresach miejscowości Rudniany, z którą związane były dzieje rodziny. Wspominam o tej ideowej genealogii, by podkreślić zjawisko chyba rzadkie: Lucylla mimo takiego zaplecza rodzinnego nie miała nigdy nic wspólnego z komunizmem i z partią. Pochodziła ze środowiska w pełni zasymilowanego, po roku 1939 znalazła się we Lwowie, część lat okupacji spędziła w Warszawie. Sentymenty żydowskie ujawniały się w niej przede wszystkim w radykalnie niechętnym reagowaniu na wszelkie przejawy antysemityzmu, określała się jako chrześcijanka, była wierzącą i praktykującą katoliczką. Przed laty ogłosiła w „Więzi” nader krytyczny artykuł na temat tego, czego uczy się młodych księży o tych sprawach w seminariach duchownych. O ile wiem, przeszedł on nieostrzeżony.

Brat Lucylli, znany mi tylko z widzenia Jarosław Rudniański, był prakseologiem, uczniem i współpracownikiem Tadeusza Kotarbińskiego. Wyszła ona za męża za jego kolegę, Tadeusza Pszczołowskiego, liczącego się profesora prakseologii z tego kręgu. Pszczołowski pochodził z dalekich Kresów północno-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej i zachował do końca życia ów charakterystycznie kresowy zaśpiew. Zmarł przed kilkunastu laty.

W swojej dziedzinie, czyli w badaniach nad językiem poetyckim, w szczególności zaś w zakresie wersyfikacji, była Lucylla wybitną specjalistką. Jeśli zaś o badania wersyfi-

kacyjne chodzi, jest to dziedzina wiedzy wysoce specjalistyczna; rozwinęła się ona w Polsce niezwykle bujnie w pierwszej połowie XX wieku, przede wszystkim w okresie międzywojennym. Wielką przedstawicielką uczonych, którzy się tą problematyką zajmowali, była Maria Dłuska, główna – obok Mayenowej – mistrzyni Lucylli. W tej poddyscyplinie zrobiono nadzwyczaj dużo, osiągnęła ona poziom tak wysoki, iż trudno było do niej wnieść coś nowego, jednak Lucylli, młodszej od swych preceptorek o pokolenie, to się udało. Jej książki oraz prace rozproszone stały się pozycjami klasycznymi; pewna część artykułów i studiów znalazła się w jej tomie *Wiersz – styl – poetyka* (2002), jest wśród nich inspirująca rozprawa o powtórzeniach u Gombrowicza. W okresie międzywojennym badania nad wierszem w wielu wypadkach stanowiły swojego rodzaju manifest metodologiczny, były formą opowiedzenia się za kierunkiem, który zwykło się wtedy określać mianem formalizmu. W okresie, w którym i w polskiej, i w światowej nauce o literaturze pozycję dominującą zdobył strukturalizm, wersologia doskonale w nim się mieściła, ale takiej wymowy i takiej pozycji już nie miała. W okresie stalinowskim była tolerowana, ale traktowano ją jako dziedzinę marginesową.

Przez wiele lat szczególnym przedmiotem dociekań Lucylli była porównawcza metryka słowiańska. O ile się nie mylę, sama idea pochodziła od Mayenowej, po jej przejściu na emeryturę to właśnie Lucylla kierowała międzynarodowym zespołem, do którego należeli świetni specjaliści z wielu krajów (między innymi też już nieżyjący Miroslav Červenka, zajmujący się wersyfikacją czeską). Organizowała coroczne konferencje, a także zabiegała o publikowanie przedstawianych w ich trakcie materiałów. Były to badania komparatystyczne, obliczone na wiele lat.

Lucylla objęła po Mayenowej kierownictwo Pracowni Poetyki Teoretycznej. Nazwa ta jest dość konwencjonalna i nie całkiem odpowiada temu, co się w niej dzieje, z początku przynajmniej nazwą odpowiedniejszą byłoby wskazanie na język poetyki jako główny przedmiot dociekań; zespół skupiający dawnych uczniów Budzyka nazywa się Pracownią Poetyki Historycznej, choć ogólnej problematyce teoretycznej i metodologicznej poświęcano w niej znacznie więcej uwagi. Lucylla przewodziła jej do przejścia na emeryturę, kierowanie nią przekazała Teresie Dobrzyńskiej. Z biegiem lat nie sposób było utrzymać tak wyraziście zakreślonego profilu Pracowni, co się wiązało ze zmianą pokoleniową, napływem młodszych kolegów, którzy wnosili swoją problematykę, już dość daleką od formalistycznej ortodoksji. O otwartości Lucylli świadczy to, że tym ewolucjom sprzyjała.

Podobnie się działo w dziale „Problemy języka artystycznego”, który do „Pamiętnika Literackiego” wprowadziła na początku lat pięćdziesiątych Mayenowa. Po Marcu 1968 wycofała się ona z redakcji, przekazując kierowanie działem Zdzisławie Kopczyńskiej, a gdy ta zdecydowała się na emeryturę, w skład redakcji weszła Lucylla, która nim się zajmowała przez kilkanaście lat. Mimo że znałem ją od dawna, to wtedy, w trakcie prac

redakcyjnych, zetknąłem się z nią bliżej – i poznałem od najlepszej strony. Doskonale się z nią współpracowało. Była redaktorką wymagającą, stawiała pracom kwalifikowanym do publikacji duże wymagania, ale jednocześnie życzliwą, zwłaszcza dla autorów młodszej generacji. W ulepszanie tekstów wkładała dużo pracy, przekazywała autorom (szczególnie mniej doświadczonym) instruktywne zalecenia, wskazywała, w jakim kierunku powinna iść dalsza praca nad tekstem. Swą robotę redaktorską traktowała niezwykle poważnie, sprawdzała, czy w nadsyłanych materiałach nie ma uchybień rzeczowych, jakichś mniejszych czy większych pomyłek. Była przy tym otwarta, wiele rzeczy zwłaszcza w pracach młodszych autorów jej się nie podobało, nie kwestionowała ich jednak z tego powodu, że odbiegają od tego, co uznawała w czasie swej długiej biografii naukowej za fundamentalne, jeśli prace wносиły coś nowego i były na dobrym poziomie. Po raz ostatni rozmawiałem z Lucyllą dwa, a może trzy tygodnie przed śmiercią. Mówiła bardzo słabym głosem. Zamierzałem wysłać jej moją opowieść autobiograficzną *Kręgi obcości*. Nie zdążyłem.

2–8 IV 2010

Stefan Treugutt (1925–1991)

W ostatnich czasach widywałem go dość często, głównie w Instytucie i w Filharmonii, niekiedy bywałem na Kopernika (ostatni raz na przyjęciu w połowie maja z okazji wizyty Grażyny i Krzysztofa Pomianów). Przy każdym spotkaniu miałem wrażenie, że wygląda coraz gorzej, że starość zawładnęła nim w tempie przyśpieszonym. Kiedy z daleka zobaczyłem w bibliotece jakiegoś staruszka, który wydał mi się znajomy, pomyślałem: skąd znam tego człowieka? Zbliżywszy się, stwierdziłem, że tym mniemanym osiemdziesięciolatkiem był właśnie Stefan. Fizycznie wyniszczony, pozostawał w doskonałej formie umysłowej, jak dawniej błyszczał inteligencją i dowcipem, jak przed laty znakomicie prowadził konwersację. Masę czytał książek z różnych dziedzin humanistyki. Jednakże i tutaj sprawa nie jest prosta. Już przed laty ograniczył wszelkie prace naukowe, jedyne, co robił, to liczne ostatnio audycje dla III Programu radia i rzadsze dla telewizji, chętnie słuchane i bardzo lubiane; pisywał też podobno na zamówienie wydawnictw recenzje wewnętrzne książek o romantyzmie. Do zamierzonych prac historyczno-literackich, przede wszystkim obszernej książki o romantycznym micie Napoleona, która miała być dziełem jego życia, wciąż zbierał materiały. Czynność ta dawała pocieszające poczucie, że z dzieła, w które zainwestował ogromną pracę, nie zrezygnował, i zarazem usprawiedliwiała smutny fakt pisarskich zaniechań. Stefan nie mógł sobie z tego nie zdawać sprawy.

Poznałem go na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ale przez jakiś czas była to znajomość na dystans; wprawdzie zaprzyjaźniłem się z Zosią, którą spotykałem w Filharmonii. Chodziła na koncerty sama, Stefan już wtedy zapewne lubił muzykę, ale nie miał czasu, tym bardziej, że zajmował się krytyką teatralną, a więc musiał oglądać spektakle. Pamiętam, kiedy go po raz pierwszy ujrzałem: jako początkujący student (był to chyba rok 1953) wybraliśmy się z Januszem Sławińskim na zebranie Towarzystwa im. Mickiewicza, na którym magister Treugutt przedstawił referat o książce Wacława Kubackiego *Arcydramat Mickiewicza* (później drukowany w „Pamiętniku Literackim”). Zebranie to utkwiło mi w pamięci, bo było pierwszym posiedzeniem naukowym, jakiemu się przysłuchiwałem. Magister Treugutt, którego nazwisko zresztą nie było mi obce, bo spotykałem je w prasie tygodniowej (publikował recenzje teatralne), dokonał z marksistowskiego punktu widzenia zasadniczej krytyki głośnej w tamtych czasach książki Wacława Kubackiego. Kiedy wówczas słuchałem tego uczonego, starszego ode mnie o dekadę, nie mogłem przypuszczać, że niemal cztery dziesięciolecia później wygłoszę przemówienie nad jego grobem.

Rówieśnicy, którzy go znali od najwcześniejszej młodości, wspominają, że wyróżniał się już wtedy wielkimi zdolnościami i wspaniałą inteligencją. Wydawało się, że będzie najwybitniejszym w całym pokoleniu historykiem literatury. Miał wszystkie po temu dane, by osiągnąć taką pozycję, stało się jednak inaczej, dał się prześcignąć kolegom (a właściwie koleżankom). Nie dlatego, że nie był pracowity. Był, umiał pracować szybko i intensywnie, lubił tę robotę, miał dobrą szkołę wyniesioną z seminarium Borowego. Historia literatury polskiej epoki romantyzmu go pasjonowała, za historia literatury się uważał i w tej przede wszystkim dziedzinie lokował swoje ambicje. Zbudował wspaniałą warsztat naukowy, a jego wiedza była ogromna. W wyniku tego wszystkiego powstały jednak tylko dwie książki o Słowackim i kilkanaście rozpraw; niektóre z nich świetne, jak na przykład studium o odach napoleońskich Koźmiana. Powstała dysproporcja między możliwościami a realizacjami. Stefan zdawał sobie z tego niewątpliwie sprawę, skoro przez lata, aż do ostatnich miesięcy życia, wstrzymywał starania o nominację profesorską. Mówił, że zgodzi się na ich wszczęcie, gdy napisze książkę o Napoleonie, ale wiedział przecież, że jej nie napisze. Zamiast dziełem życia stała się fantazmatem.

Na ową dysproporcję złożyło się wiele czynników, nie tylko abulia lat ostatnich, mająca chyba podłoże chorobowe. Przez lata Stefan zajmował się wieloma rzeczami równocześnie. Decydowała o tym, jeśli nie wyłącznie, to w dużej części, konieczność zarobkowania. Miał ogromne obowiązki, spora rodzina musiała żyć na jakimś poziomie. Był zapalonym bibliofilem, zbierał książki antykwaryczne (głównie z XIX wieku) i zachodnie dzieła o literaturze, a więc pozycje wymagające sporych funduszy. W konsekwencji działał jako krytyk teatralny, kierownik literacki teatrów, wykładowca na

uniwersytecie i w Szkole Teatralnej, autor audycji radiowych i przez lata jedna z najbardziej znanych postaci polskiej telewizji. Jeśli w tej powodzi zajęć on sam nie zapomniał, że z zawodu i z zainteresowań jest historykiem literatury, to często zapominali inni. Nie wiem, kiedy Stefan rozpoczął swą działalność w telewizji, przez kilkanaście lat był jedną z najpopularniejszych osób w Polsce, wielbiły go zwłaszcza kobiety, a na pewno nic w sobie nie miał ze stereotypowej gwiazdy telewizyjnej. Zasłynął jako autor komentarzy do dramatów wystawianych w poniedziałkowym teatrze, występował jednak także w innych audycjach (ale, o ile wiem, nigdy propagandowo-politycznych).

Nie miałem wówczas telewizora, oglądałem więc Stefana w tej roli rzadko, domyślałem się jednak, z czego to powodzenie wynikało. Różnił się on zdecydowanie od większości postaci występujących w PRL-owskiej telewizji. Był wyrazistą osobowością, która przed kamerami zachowywała się naturalnie. Nie dukał z kartki, mówił doskonałą polszczyzną, efektownie, jasno, prosto. A przede wszystkim tak, jakby zwracał się nie do szerokiej publiczności, ale do każdego widza z osobna. On ci niczego nie wykladał, on ciebie nie pouczał, on z tobą rozmawiał. W rzeczywistości totalitarnej, w której telewizja pełna była gęb krzyczących mówców i mądrzących się facetów od propagandy, taki sposób zachowania i mówienia szczególnie się wyróżniał, nic przeto dziwnego, że przyciągał uwagę. Stefan zdawał sobie sprawę ze swej popularności, miał jej dowody na każdym kroku. Kiedyś zabrakło w Filharmonii programów. Portier podszedł do Stefana i powiedział coś w rodzaju: dla pana zawsze się znajdzie i sprzedał mu zarezerwowany dla znajomych egzemplarz. Kiedy załatwiałem na początku lat siedemdziesiątych jakąś sprawę w spółdzielni mieszkaniowej i wręczyłem urzędnicze pismo z IBL-u z jego podpisem, o mało nie zemdląłem z wrażenia i od razu stała się dla mnie sympatyczniejsza. Ta popularność zapewne go męczyła i śmieszyła, samą pracę w telewizji jednak lubił i cenił. Stała się ona dla niego rzeczą ważną nie tylko z powodów finansowych; zdaje się, że traktował ją jako jedną z form realizowania swej osobowości.

Miał niewątpliwy talent aktorski, podobno we wczesnej młodości odnosił sukcesy w amatorskiej inscenizacji którejś z komedii Fredry. Częste występowanie w telewizji zaważyło na jego sposobie bycia, co czasem było widać w takich czy innych gestach i słycać w intonacji wypowiedzianych zdań. Nie zdawał sobie sprawy z tych naleciałości. Nie można mu było o nich powiedzieć. W ogóle nie lubił, gdy o jego działalności w telewizji rozmawiało się w Instytucie. Były to różne sfery jego życia, które nie miały prawa na siebie zachodzić, w IBL-u chciał być traktowany jako uczony, jako historyk literatury, komparatysta, znawca romantyzmu. Był tym wszystkim, choć dla ogromnej liczby ludzi istniał tylko jako pan z telewizji. Cenił sobie tę sferę swojego życia, ale wziął udział w bojkocie mass mediów w stanie wojennym. To jednak dalsza historia.

Stefan miał niebywałą łatwość nawiązywania i utrzymywania kontaktów z ludźmi. Stał się w tej dziedzinie mistrzem, był to dla niego proces naturalny i spontaniczny.

Rozmawiając z daną osobą, umiał od razu znaleźć właściwy ton i odpowiednio ustawić relacje. Rozmawiał z małego dystansu, zmierzał do wytworzenia poczucia, że wspólne pole, należące do niego i do interlokutora, jest obszerne, zawsze więc można się dogadać. Ta niezwykła umiejętność miała znaczenie dla różnych sfer jego działalności, nie tylko dla pogadanek radiowych i telewizyjnych, ujawniała się także w dydaktyce uniwersyteckiej. Prowadził przez lata zajęcia poświęcone dramатовi współczesnemu i seminaria magisterskie. Był wykładowcą atrakcyjnym; wyobrażam sobie, że seminarium, nic albo niewiele tracąc na walorach merytorycznych, przekształcało się w wydarzenie typu towarzyskiego. Od jednego z magistrantów, który pod jego kierunkiem pisał pracę, słyszałem słowa zachwytu. Z pewnością nie był pedagogiem zbyt wymagającym; łagodny z natury, miał w sobie pewną niefrasobliwość, która objawiała się tak w poczynaniach zawodowych, jak w sferze prywatności.

Teraz kilka słów o Stefanie jako osobie publicznej. Do PZPR zapisał się na początku lat pięćdziesiątych, wytrwał w partii prawie trzy dziesięciolecia, legitymację oddał dopiero po ogłoszeniu stanu wojennego. Kiedyś powiedział: dawniej byłem reżimowcem, teraz jestem zdecydowanie antyreżimowy. Było to typowe dla niego zdanie, nasycone dystansem i autoironią. Bo choć na PRL przystał i jakoś w nim się mieścił, reżimowcem we właściwym sensie tego słowa nie był nigdy. Deklarował się niegdyś jako marksista, ale nie stał się ideologiem i naganiaczem, nikt go się w żadnej sytuacji nie bał, nie był fanatykiem i zawsze miał opinię porządnego człowieka. Nie był – by posłużyć się formułą pani Świdry-Ziemby – kreatorem systemu. I tym właśnie różnił się od wielu swych rówieśników. Przynależność do partii to była pewna taktyka życiowa; wynikała niewątpliwie z oportunistu, ale znaczyć mogła całkiem różne rzeczy (o czym nie chcą pamiętać dzisiejsi dekomunizatorzy). Stefanowi ułatwiała poruszanie się wśród instytucji kultury masowej, których dysponenci mogli go traktować jak swojego. Umacniała pozycję w IBL-u w tym sensie, że również dysponenci nauki mogli w nim dojrzeć zaufanego człowieka. W nim samym jednak nie było żadnej gorliwości, nie należał do tych, którzy dbają o karierę, o swej partyjności mówił z ironią, opowiadał między innymi humorystyczno-fantastyczną historię, wykoncypowaną chyba do spółki z Zosią, o tym, jak robi wielką karierę i zostaje sekretarzem sekretarza Kociołka. Domyślam się, że dobrą pozycję w sferach partyjnych zawdzięczał swojemu sposobowi bycia; z każdym rozmawiał tak, jakby to był bliski mu człowiek, we wszelkich sytuacjach zachowywał się w sposób sympatyczny i otwarty.

O tym, że Stefan w sferach partyjnych cieszył się zaufaniem, świadczy nominowanie go w połowie roku 1968 na stanowisko wicedyrektora IBL-u (po rezygnacji Mayenowej). W ekipie dydaktycznej był wówczas jedynym członkiem PZPR, oczekiwano od niego dbałości o właściwe oblicze ideowe Instytutu, za to właśnie uczyniono go odpowiedzialnym. Urzędowy awans w tym strasznym roku nie wyglądał ładnie, z czego Stefan zdawał sobie

doskonale sprawę. Gotów jestem jednak powtórzyć z całą odpowiedzialnością to, co powiedziałem nad jego grobem: składam mu hołd za to, że był jednym z tych, którzy uratowali Instytut przed skutkami marca, za to, że użył swej wielkiej inteligencji i talentów dyplomatycznych w działaniach, które złagodziły komunistyczne naciski.

Ów nagły awans stał się przedmiotem gadań i plotek. Były Stefanowi niechętnie, przodowały w nich osoby niby z nim zaprzyjaźnione, wywodzące się z partii, jak Maria Janion, czy partii wciąż bliskie, jak Ryszard Przybylski. Utrzymywano, że związał się on z esbecją, że jest w jej rękach, uzależnił się od niej, bo zabiegał o uwolnienie syna z więzienia (rzeczywiście, wówczas go wypuszczono). Nie brałem tych pomówień poważnie, miałem do Stefana zaufanie. Choć wiem, że musiał mieć ze względu na funkcję jakieś kontakty z pracownikami MSW; przychodzili oni do Instytutu, a ich niejako naturalnym rozmówcą był partyjny członek dyrekcji. Miał też kontakty z pracownikami wydziału nauki KC, którzy zapewne nie raz go wzywali, a i sami się w Instytucie pojawiali, by udzielić instrukcji lub skontrolować. On prowadził z nimi grę. Przez ćwierćwiecze naszą personalną była niejaka Janina J., żona oficera, osoba równie politycznie gorliwa (choć bezpartyjna), co nieinteligentna. Tuż po objęciu przez Stefana stanowiska przyszła do niego z takim *dictum*: panie docencie, dzwonią z ministerstwa (wówczas naprawdę było jedno tylko ministerstwo!) i pytają, czy w Instytucie są syjoniści, co mam odpowiedzieć? Stefan momentalnie wypalił: niech pani powie, że nie było, nie ma i nie będzie! W ówczesnych warunkach była to odpowiedź najlepsza z możliwych, a coś odpowiedzieć trzeba było. Najlepsza, bo likwidowała sprawę. Rozeszła się jednak po mieście absurdalna plotka, głosząca, że Stefan został hunwejbinem. Na dowód ktoś ze znajomych (nie pamiętam kto) opowiadał mi taką historię: po jakimś zebraniu członków partii, zajmujących wysokie stanowiska w instytutach PAN-owskich, na którym pouczano zebranych, jak mają walczyć z rewizjonistami i syjonistami, podszedł do Stefana pewien uczony, skądinąd wybitnej inteligencji, i zapytał, co zamierza w tej sytuacji robić. Stefan odpowiedział coś mniej więcej takiego: trzeba wziąć miotłę, wygnać to robactwo z kątów i zalać wrzątkiem. Była to jawna kpina, jeszcze dzisiaj łatwo mi wyobrazić sobie intonację, z jaką to zdanie zostało wypowiedziane, ale przerażony rozmówca wziął je poważnie i opowiadał, jakim potworem stał się Stefan. Epoka marcowa była koszmarna, ale też groteską nadziana, podobnie jak kilkanaście lat później stan wojenny.

W dyrekcji Stefan zajmował się niemal wyłącznie reprezentowaniem, przyjmowaniem gości zagranicznych i co najważniejsze: rozmawianiem z władzami. Konkretnie roboty, związane z zarządzaniem Instytutem, wykonywał najpierw Zbigniew Goliński, a w latach następnych Ryszard Górski. Stefan nie miał po temu właściwego usposobienia, bałaganiarzem był z natury, papierki go się nie trzymały. O wielu rzeczach zapomniał; kiedyś na pół roku zapomniał otworzyć jakiś pilny list od Romana Jakobsona. Świadom swych różnych uchybień, mówił o nich z wdziękiem i z dystansem. Nie przejmował

się nimi, wiedząc, jaka jest jego rola w dyrekcji, a ponadto tak naprawdę interesowało go to, co robił w telewizji.

Pierwszym gestem, jaki Stefan uczynił po ogłoszeniu stanu wojennego, było wystąpienie z PZPR. Był to akt o dużej doniosłości symbolicznej, miał jednak także swoje znaczenie praktyczne. Stanowił protest przeciw temu, co się stało, uniemożliwiający zajmowanie dotychczasowych stanowisk i kontynuowanie dawniejszych prac. Stefan wziął udział w instytutowym strajku w połowie grudnia 1981 i jako wicedyrektor został w gmachu po tym, jak zomowcy wszystkich z niego wyrzucili – i pertraktował z dowódcą oddziału w sprawie właściwego zabezpieczenia biblioteki. Nie wiem, czy jeszcze tego samego dnia czy w dniach następnych utracił stanowisko, w tej dziedzinie ekipa Jaruzelskiego działała szybko i konsekwentnie. Nie wchodziła w grę współpraca z telewizją i udział w audycjach radiowych. Stefan znalazł się po właściwej stronie barykady, włączył się we front odmowy, zaszła przeto zasadnicza zmiana w jego życiowych postawach.

Mówi ona o radykalnej ewolucji konkretnej osoby, to prawda, ale także o przekształceniach psychologii społecznej, ogólnych odczuć i wartości. W roku 1968 mógł się on zachować tak, jak się zachował; zostało to przez znajomych przyjęte niechętnie, z zażenowaniem, ale żadnych konkretnych skutków towarzyskich nie wywołało. Gdyby w roku 1982 znalazł się po stronie komunistów, wyeliminowałoby go to ze środowiska, w którym obracał się przez lata. Zdawał sobie z tego faktu niewątpliwie sprawę, myślę jednak, że jego zachowanie miało głębsze podłoże. Jak wielu intelektualistów związanych z partią, choć w istocie dalekich od ideologii komunistycznej, przeżył głęboko niezwykle doświadczenia solidarnościowych miesięcy, a atak na to wszystko, z czym łączyły się społeczne i narodowe wartości (i nadzieje), wywołał w nim poczucie obrzydzenia. Stefan nie ograniczył się do postawy biernej, w latach stanu wojennego uczestniczył kilkakrotnie w antyreżimowych demonstracjach. O jednej z nieoficjalnych manifestacji pierwszomajowych barwnie opowiadał.

Wydawałoby się, że uwolniony od obowiązków administracyjnych w IBL-u, niekuszony przez środki masowego przekazu, zabierze się do roboty historycznoliterackiej i zrealizuje swe stare pomysły i projekty. Tak się jednak nie stało. Stefan zszedł na margines życia naukowego. Zosia już po jego śmierci winą za to obciążała Instytut, złą atmosferę, jaka w nim panuje, fakt, że ton mu nadają „damy od historii poetyki” (jej formuła). Przyczyny jego bierności, przeradzającej się w abulję, tkwiły w nim samym. Myślę z bólem i z żalem, że jeden z największych talentów, jakie pojawiły się w naszej dyscyplinie w ostatnim półwieczu, zrealizował się jako uczonej w stosunkowo niewielkim stopniu.

3–7 grudnia 1991

Z szuflady Profesora Michała Głowińskiego

Trzy tęgie głowy. IV

Sywetki trzech polskich humanistów zapamiętane przez prof. Michała Głowińskiego.

Słowa kluczowe: Michał Głowiński, polscy humaniści, Hanna Buczyńska-Garewicz, Lucylla Pszczółowska, Stefan Treugutt

Three outstanding minds. IV

Profiles of the three Polish humanists as remembered by prof. Michał Głowiński.

Key words: Michał Głowiński, Polish humanists, Hanna Buczyńska-Garewicz, Lucylla Pszczółowska, Stefan Treugutt

